płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 1—15 · XII · 1985

23

Fot. Wiktor Pawłowski

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

• A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! •

RYBY też zapadają w zimowy sen, a niektóre gatunki śpią i latem.

Obniżenie temperatury wody w okresie jesienno-zimowym powoduje u ryb słodkowodnych odrętwienie, które można nazwać snem zimowym. Następuje zwolnienie akcji ich serca, nie pobierają w tym czasie pokarmu i przebywają na większych głębokościach.

W okresie letniej suszy, kiedy wysychają zbiorniki wodne, niektóre ryby zagrzebują się w mule dennym i, jak piskorz, potrafią tam przebywać nawet przez rok. Liny i miętusy w okresie wielkich upałów gromadzą się na dnie i zapadają w odrętwienie podobne do snu.

●

GEOLODZY polscy odkryli niedawno złoża rudy cyny w Sudetach. Wyniki badań jeszcze się opracowuje, ale już niedługo będzie można określić wielkość odkrytych zasobów. Złoża rudy cyny występują dość rzadko na świecie. Kruszec ten wydobywany jest w kilku krajach azjatyckich oraz w Boliwii (Ameryka Południowa), w Kongu (Afryka) i w azjatyckiej części ZSRR. W Europie znane są jedynie niewielkie pokłady tej rudy.

GIBRALTAR — miasto i twierdza brytyjska — pobudowane na skalnym cyplu Półwyspu Pirenejskiego, nie ma źródeł wody ani strumieni. Słodką wodę uzyskuje się tu przez odsalanie wody morskiej, a także zbiera z opadów atmosferycznych. Dowozi się ją także zbiornikowcami z Anglii, Holandii i Maroka.

●

MYDŁO, bez którego współczesny człowiek nie potrafiłby się obejść, znane jest dopiero od początku naszej ery. Starożytni Egipcjanie, podobnie jak Grecy i Rzymianie, mydła nie znali. Egipcjanie do wody podczas mycia dodawali sody. Grecy namaszczali ciało oliwą, którą potem dokładnie ze skóry zeskrobywali. W Rzymie dość powszechnie używano popiołu wulkanicznego, nacierano się nim i spłukiwano wodą.

●

ORŁA nazywa się królem ptaków, choć nie jest on największym ptakiem latającym. Przewyższają go wielkością kondory, a zwłaszcza kondor olbrzymi, spotykany na wysokości kilku tysięcy metrów w górach Andach. Rozpiętość jego skrzydeł przekracza 3 metry.

Nasza okładka:

Pamiętajcie o dokarmianiu zwierząt!

GÓRNICY

Oni,
w podziemnych korytarzach,
węgla świecące wyrąbują
bryły.
A ty
po ziemi chodzisz w świetle,
wiatrem oddychasz.
Tulisz śnieg.

Oni,
w podziemnych korytarzach,
twarde, kamienne
szarpią bryły.
I w każdej czarnej grudce węgla
tobie ukryte niosą światło.

Zbigniew Jerzyna

Rys. Zdzisław Byczek

O LEKARZU I JEGO NIEMYM UCZNIU

(bajka afrykańska)

W pewnym kraju mieszkał znakomity lekarz. Ludzie z dalekich okolic przychodzili do niego i on dawał radę wszystkim dolegliwościom.

Nie trzeba dodawać, że był bardzo bogaty. Toteż wielu ojców przyprowadzało do niego swoich synów, prosząc, by przyjął ich na naukę. Nie wzruszały go żadne kosztowne podarunki. Po prostu lekarz nie chciał, aby inni ludzie karmili się jego sławą.

Mijały lata. Lekarz postarzał się. Coraz trudniej było mu przyjmować i leczyć tłumy chorych. Wreszcie pewnego dnia oświadczył:

— Przyjmę ucznia, ale mój uczeń musi być niemową.

Nietrudno odgadnąć, o co chodziło sławnemu lekarzowi. Przecież niemowa posiadłszy sztukę lekarską, nie będzie w stanie przekazać jej swojemu następcy.

Tak się złożyło, że o trudnym do spełnienia warunku dowiedziała się wdowa mająca jedynego syna.

— Posłuchaj synu — powiedziała. — Jesteś sierotą. Prócz biedy, niczego w życiu nie możesz się spodziewać. Lekarz powiedział, że na naukę przyjmie tylko niemowę. Jeśli chcesz u niego praktykować, musisz przestać mówić. Po latach staniesz się tak samo dobrym lekarzem jak sam mistrz. Będziesz leczył ludzi, będą cię podziwiali. Zgodzisz się chyba poddać tak ciężkiej próbie?

— Zrobię wszystko, żeby tobie było lżej — powiedział chłopiec i przytulił się do matki.

Nazajutrz matka zaprowadziła syna do domu lekarza. Lekarz przyjął ich i zwrócił się do matki:

— Czy to prawda, że twój syn jest niemy od urodzenia?

— Tak panie — powiedziała bez wahania matka.

Lekarz jednak nie ufał w pełni zapewnieniom matki. Już nazajutrz poddał chłopca ciężkim próbom. Zaprowadził go do ciemnego pokoju i uderzył mocno pałką. Spodziewał się, że chłopiec zacznie głośno wzywać swej rodzicielki. Chłopiec jednak milczał. Wtedy postanowił postraszyć chłopca w inny sposób. Wziął z półki paczkę ziela i natarł nim skórę chłopca. Było to ziele powodujące czernienie skóry. Lekarz był przeświadczony, że tym razem chłopiec zacznie lamentować. Ale omylił się. W oczach chłopca ukazały się jedynie wielkie jak groch łzy. Następnego dnia na odmianę wyprawiał z chłopcem wesołe sztuczki. Chłopiec milczał jak ryba i tak został uczniem wielkiego mistrza.

Uczeń gorliwie pomagał swojemu nauczycielowi we wszystkich pracach. Jeśli nauczyciel potrzebował czegokolwiek, kiwał głową, machał ręką, nie wypowiadał żadnego słowa.

I tak minęło kilka lat. Uczeń zdobywał coraz więcej wiedzy. Zdarzało się, że nawet samodzielnie leczył chorych.

Pewnego razu do słynnego lekarza przybył chory. Skarżył się na bóle głowy nie do zniesienia. Lekarz obejrzał go dokładnie i powiedział:

— Trudno ustalić, co się dzieje wewnątrz twojej głowy. Muszę otworzyć czaszkę i znaleźć przyczynę bólu. Zjawiłeś się w samą porę. Niedługo postradałbyś rozum.

Chory wiedział, że ma do czynienia ze znakomitym lekarzem, więc zgodził się na operację.

Lekarz zręcznie posługując się narzędziami otworzył czaszkę chorego i zobaczył wielkiego białego pasożyta, który oplatał mózg chorego i uciskał go powodując niesłychane bóle. Wystarczyło ostrożnie usunąć intruza, tak by nie uszkodzić mózgu. Lekarz sięgnął po haczyk i tym haczykiem postanowił usunąć przyczynę choroby.

Uczeń jak zwykle stał przy boku lekarza i śledził z uwagą zabiegi mistrza. Myślał przy tym: „Jeśli mistrz zaczepi haczykiem pasożyta, to uszkodzi mózg. Jeśli zaś ostrzegę go przed tym, dowie się, że nie jestem niemową. Wtedy wyrzuci mnie. Ale jeśli będę milczał, chory umrze, a nauczyciel poniesie uszczerbek na swojej sławie.

„Niech się dzieje, co chce" — szepnął w duchu, a głośno zawołał:

— Nauczycielu! Mylisz się, tak nie można! Uszkodzisz mózg, nie wyciągniesz pasożyta!

Uczeń śmiało wziął z ręki lekarza haczyk, rozpalił go nad ogniem i zbliżył do pasożyta, który zaczął się kurczyć i szybko opuścił mózg. Wtedy uczeń przystąpił do zaszywania rany.

Lekarz prawie oniemiał ze zdumienia, ale nie odezwał się ani słowem, dopóki operacja nie została zakończona.

— Wygląda na to, że ty mówisz. Więc jeszcze dzisiaj musisz opuścić mój dom!

— Nauczycielu! — powiedział uczeń. — Mógłbym milczeć i oszukiwać cię, byłoby to dla mnie wygodne. Ale ja nie chciałem, aby ten człowiek umarł. Przecież jego śmierć, spowodowana twoim błędem, byłaby i dla ciebie nieszczęściem. Dlatego musiałem przemówić.

Nauczyciel milczał przez dłuższą chwilę, wreszcie powiedział:

— Masz słuszność, mój synu — i przygarnął go do siebie.

Od tego wydarzenia żyli w wielkiej przyjaźni i razem leczyli chorych.

Czy nigdy nie słyszeliście o nich?

Opracował Bolesław Zagała

Rys. Anna Krejbich

NASZA RODZINA

To jest rodzina nasza:
mama,
tata,
Natasza.
I ja.
I kotek Dymek,
bo tak mu jest na imię.
I jeszcze ten gołąbek,
co chodzi po oknie.
I jeszcze tamto drzewo,
co na deszczu moknie.

Danuta Wawiłow

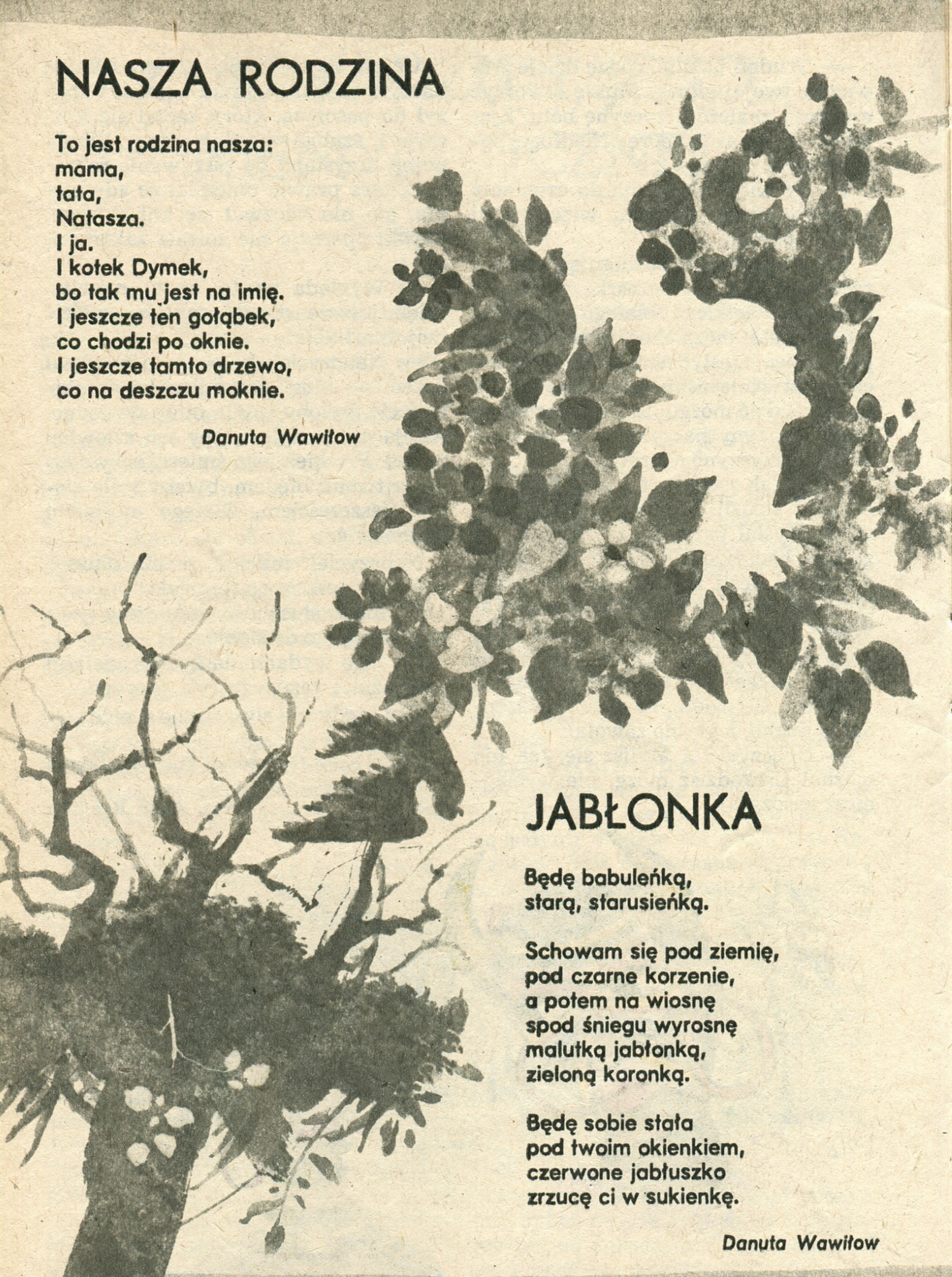

JABŁONKA

Będę babuleńką,
starą, starusieńką.

Schowam się pod ziemię,
pod czarne korzenie,
a potem na wiosnę
spod śniegu wyrosnę
malutką jabłonką,
zieloną koronką.

Będę sobie stała
pod twoim okienkiem,
czerwone jabłuszko
zrzucę ci w sukienkę.

Danuta Wawiłow

TAJEMNICA

Kiedy budzę się rano
i śpiewam,
to się robię taki wielki
jak drzewa
i wyrastają ze mnie liście
i kwiaty,
i mam pełno ptaków skrzydlatych
na ramionach,
na rękach,
na głowie...

Ale o tym nikomu
nie powiem.

Danuta Wawiłow

MAMA W KUCHNI

Mama krząta się w kuchni od rana
i od rana
marzy o niebieskich migdałach.
A kiedy ją pytamy:
Co ugotowałaś?
W zamyśleniu odpowiada:
Pieczeń z hipopotama,
albo —
Zdaje się,
że krokodyla wrzuciłam do garnka.
Dziwna z mamy kucharka.
Wczoraj czapeczkę krasnoludka
podała na liściu sałaty
i ugotowała zegarek taty.
Zresztą fatalnie.
Za to obiad był niezwykle punktualnie.

Ewa Zawistowska

Rys. Wiesław Majchrzak

DWA DNI W LISTOPADZIE

Najpierw był dzwonek późnym wieczorem.

— Telegram. Pan podpisze, o, tutaj.

Potem krótka, prawie zdyszana rozmowa ojca z mamą. Trudno było zrozumieć, wyłowić chociaż jedno słowo. Już wtedy wiedziałam, że stało się coś złego.

Wreszcie ojciec powiedział:

— Pojedziesz razem ze mną, Moniko. Babcia bardzo chora, chce nas widzieć — głos ojca się załamał, jakby jakieś niewidzialne palce ścisnęły mu gardło.

Dlaczego to ja miałam jechać z ojcem, a nie mama i Pawełek? Mój mały brat leżał w łóżku z obwiązanym gardłem, od tygodnia brodził wytrwale po wszystkich szaroburych kałużach, aż któregoś wieczoru zaczęły go trząść dreszcze. Więc mama nie mogła pojechać, bo kto by pilnował Pawełka, żeby się nie odkrywał, łykał gorzkie lekarstwo i mierzył gorączkę?

Od PKS-u szliśmy w gęstych ciemnościach, drobniusieńki deszcz tupał tysiącami kropelek po błocie i liściach. Wszystko zwilgotniało od tego mżenia i od przechodzących nisko pasm szarej mgły. Ta mgła wypełzała gdzieś z ciemności nagich, jesiennych pól, rowów zarosłych jeżynami i tarniną, z bagiennych oczek na łąkach, i otaczała nas szarością smutniejszą od mroku.

— Moniko...

Ponieważ ojciec szeptał, więc i ja zaszeptałam pytająco: — Tak?...

— Musisz być dzielna, Moniko. Musisz się uśmiechać do babci. To bardzo ważne. Rozumiesz?

Czy rozumiałam? Przecież parę miesięcy temu szukałam z babcią wiosny w naszym osiedlu, to ona pokazała mi wtedy kwiatki podbiału pod ścianą wielkiego bloku. Przecież to my, ja i Pawełek, co roku przyjeżdżaliśmy na wakacje do dziadków, zrywaliśmy wiśnie z niskiej gałęzi przewieszonej przez płot, biegaliśmy wieczorem na wygon po Baśkę, wielką, rozłożystorogą, dostojnie kroczącą krowę, to my szukaliśmy kurzych jaj w łopianach za stodołą i rozkładaliśmy na ławie zebrane w zagajniku grzyby.

— O, kraśniaczek — babciny palec dotykał rudego kapelusza.

— A to podgrzybek, zajączek, a ten popękany obok, to sitak.

— A tego wyrzuć, wnusiu, to zły grzyb. Jak go zagotować, srebrna łyżka od niego czernieje.

Kochałam babcię i babcia kochała mnie, więc jakbym mogła nie rozumieć? No, jak?

Jesiennym wieczorem na wsi jest tak ciemno i pusto, że póki się nie dostrzeże świateł w dalekich domach, wydaje się, że na świecie nie ma nikogo, że zniknęło, zapadło się w szarość mgły wszystko, że jest tylko szelest kapiących kropli na opadłe liście i błoto mlaszczące pod podeszwami.

Mrużąc oczy porażone jasnością, przestąpiłam próg. Ktoś zapłakał obejmując ojca. Czyjeś ręce zdjęły ze mnie sztywną, wilgotną kurtkę.

— Czeka na was, czeka. Chwała Bogu, że się doczekała. Już od południa oczy wypatruje.

Albo to łóżko było takie wielkie, albo babcia nagle zrobiła się mniejsza, prawie zniknęła wśród poduch i pierzyn. Chyba bym jej wcale nie poznała, gdzieś zniknęły rumieńce, a oczy miała wielkie na pół twarzy.

Przeraziły mnie cienie pod tymi zogromniałymi oczami, ciężkie wciśnięcie głowy w poduszkę, dwie nieruchome ręce na bieli powłoczki, ale wiedziałam, że muszę się uśmiechać.

— Jak można tak nas wystraszyć? — pytał z wyrzutem ojciec, pochyliwszy się nad leżącą. — Dlaczego mamusia nie pozwala wezwać pogotowia? Trzeba do szpitala, koniecznie trzeba!

Coś jeszcze mówił, tłumaczył, kiedy babcia odezwała się głosem podobnym do szelestu jesiennych liści, kruchym i ledwo słyszalnym:

— Herbaty się napijcie. Wy zdrożeni. Potem... — ale nie doszeptała, co będzie potem, umilkła.

Zapłakana ciotka Zosia podsuwała nam szklanki, patelnię z jajecznicą, grubo krajany chleb.

— Już sobie gardło wygadałam, a babcia ciągle nie i nie. Uparta strasznie. Jak znaleźć słowa, żeby ją przekonać? Operację tylko w szpitalu mogą zrobić, ale babcia nie chce...

Dziadek także, teraz dopiero zauważyłam, był zupełnie siwy, kiwał frasobliwie głową, przytwierdzając prawdzie ciotczynych słów. Ojciec o coś go pytał, pochylił się ku dziadkowi, zaczęli szeptać nie zwracając na mnie uwagi.

Jakby mnie ciągnął niewidzialny sznur, uchyliłam ostrożnie drzwi, cicho, na palcach podeszłam ku niewy-

raźnemu kształtowi majaczącemu wśród bieli. Babcia leżała nieruchomo, powieki zakrywały jej oczy, pochyliłam się, żeby ułowić oddech. Oddychała płytko i nierówno.

— Wnusia? — nie otwierając powiek jakoś mnie poznała, coś podobnego do uśmiechu prześliznęło się po bezkrwistych wargach.

Usiadłam na brzegu łóżka.

— Babciu, jak przyjadę na wakacje, nauczysz mnie robić na drutach? — tak właśnie zapytałam, i zaraz przeraziłam się, co ja mówię? Po co? Ale coś kazało mi mówić dalej. — Narwiemy lipowych kwiatów i malin w lesie. Mama zawsze powtarza, że to najlepsze na przeziębienia. I będę ci pomagała doić Baśkę. Już trochę umiem, wiesz, babciu? Próbowałam, jak nikt nie widział. Ona mnie chlastnęła ogonem, ale tylko raz. Tak w ogóle stała spokojnie i chyba się dziwiła...

Powoli, bardzo powoli uchyliły się powieki.

— Wnusia... — wcale nie byłam pewna, czy rzeczywiście słyszę babciny głos, czy mi się tylko tak wydaje. — Moniczka kochana, moja pociecha i wyręka...

Nie wiem, ile czasu trwało milczenie, gdy urwał się cichutki szept, może bardzo długo, a może okamgnienie. O szyby okna zagrzechotał gęściejszy deszcz, biczował szkło, a wiatr zapłakał i rozkołysał tam, za ścianą, gałęzie drzew.

— Nie pomyślałam — aż drgnęłam, bo nagle szept wydał mi się głośny. — Przecież przyjadą...

— Kto przyjedzie?

— Wnuki. Z miasta przyjadą. Latem.

Zaskrzypiały drzwi;

— Czemu męczysz babcię, Moniko? — to do mnie. — A ja muszę z mamą poważnie porozmawiać — to do babci. — Bardzo poważnie...

— Monisiu, proszę do kuchni, herbata całkiem już wystygła.

Półuniesieniem dłoni babcia nakazała, by ojciec pochylił się nisko, jak najniżej.

— Ja się zgadzam.

Widocznie ojciec nie zrozumiał albo nie dosłyszał tego, co zaszeptały babcine wargi.

— Na co? — zapytał.

— ...Do szpitala — zaszemrało najcichszym tchnieniem.

Teraz wszystko zaczęło dziać się bardzo szybko: Ciotka pobiegła do leśniczówki, gdzie był telefon, dziadek kręcił się po pokoju, niepotrzebnie otwierając drzwi szafy, to zdejmował jakąś chustę z półki, to chował ją z powrotem, to podsuwał do ust babci kubeczek z kompotem, to odstawiał go na okienny parapet.

— Wnusiu...

— Tak?

— Będziesz miała cierpliwość? — babcia patrzyła na mnie z jakimś niepokojem, palce szarpały poszwę.

— Będę — obiecałam nie wiedząc, co właściwie obiecuję. — Będę miała cierpliwość.

— Kręcicka jesteś. Do włóczkowej roboty cierpliwość potrzebna...

Od zalanej wodą szyby ojciec odezwał się niegłośno, z naciskiem:

— Moniko, za wiele mówisz. Idź do kuchni.

Pod kuchenną blachą szumiał ogień, rzucając czerwony poblask na bieloną ścianę, cichutko postukiwała pokrywka na zapomnianym przez wszystkich czajniku, z dziobka białą strużką sączyła się para. Oparłam głowę na kuchennym stole i rozpłakałam się dziwnym płaczem, takim od środka, jakim nie płakałam jeszcze nigdy.

— Powiedzieli, że przyjadą — za ciotką do kuchni wtargnęła zimna wilgoć. — Bogu chwała, że babcię odmieniło. Teraz jakaś nadzieja, a tak by przyszło jutro gromnicę zapalać.

Usiadła obok mnie, ale nie pytała o nic, jakby nie dostrzegając nie dopitej herbaty, nietkniętej jajecznicy,

mojego płaczu, mokrych od łez policzków.

Gdy nosze już zniknęły w drzwiach, ja jeszcze siedziałam na tym samym miejscu. Obok noszy dreptał dziadek i poprawiał obsuwający się koc.

— Jadę — ojciec już w kurtce stanął na progu. — Babci będzie raźniej. Moniko, bądź grzeczna, słuchaj się cioci.

Nie usłyszałam warkotu zapuszczanego silnika. Deszcz rozpadał się na dobre, kiedy wyjrzałam na podwórze, nie zobaczyłam nic, jakby karetka, nosze, babcia i ojciec rozpłynęli się w ciemności i ulewie.

— Kładź się, dziecko. Jesteś zmęczona.

— Poczekam.

— Na co?

— Przecież tata wróci i powie...

— Wcześniej niż rano nie wróci. My poczekamy, ty śpij. Oczy ci się same zamykają.

I naprawdę tak było, jakby mi pod powieki ktoś nasypał drobnego piasku, chwilami nie wiedziałam, gdzie jestem, potem ze zdumieniem rozglądałam się po ścianach, kątach, pelargoniach na oknie.

Sama nie wiem, kto mnie rozebrał i położył do łóżka, ale musiało być bardzo rano, kiedy się obudziłam. Za szybami stała gęsta ciemność, może odrobinę podbarwiona czymś jaśniejszym. Z daleka ułowiłam uchem znajomy pisk studziennego łańcucha.

Kurtka jeszcze nie wyschła, to nic.

— Gdzie cię niesie, dziewczyno? — Ciotka postawiła wiadra z osypką i chwyciła mnie za rękaw. — Ledwie po szóstej, ciemno, a mgła taka, że na pięć kroków nic nie zobaczysz... Mleka gorącego byś się chociaż napiła.

Zaczęłam tłumaczyć, że chcę podejść do szosy, znam dobrze drogę, nie, do przystanku nie pójdę, za daleko, poczekam na tatę na szosie.

— Nie mogę iść z tobą — westchnęła ciotka. — Choroba czy nie choroba, ale obrządek trzeba zrobić. Lepiej byś mi pomogła, tata i bez ciebie tutaj trafi. Ale jak taki mus, to idź...

Byłam sama we mgle gęstej jak królicze futerko, pnie drzew majaczyły niewyraźnie, na końcach gałązek, bezlistnych i czarnych, wisiały wielkie krople wody. Ktoś mnie minął człapiąc po błocie, później zaklaskały końskie kopyta. Przestraszyłam się, że minę się z tatą w tej mgle i nieoczekiwanie zatęskniłam do domu, do mamy, do Pawełka, podzwaniania tramwajów na niedalekiej ulicy. I z całej siły starałam się uwierzyć, że wszystko wczorajsze już minęło, że nie trzeba już ze ściśnię-

ciem serca myśleć o babci, o jej głowie wtłoczonej w poduszkę, o dłoniach, które wyglądały tak, jakby miały pozostać na zawsze na białej, wykrochmalonej poszwie...

Mogłabym zrobić nie wiem co, tylko, żeby babcia wyzdrowiała. Już nigdy nie popchnę ani nie uderzę Pawełka, dam mu zawsze pudełko z pastelami i będę wycierała talerze po zmywaniu i nigdy, przenigdy nie skłamię, bo przecież zdarzało się, że mówiłam nieprawdę. I...

Naraz zrobiło się jasno, przez mgłę usiłował się przedrzeć nieśmiały, listopadowy promień słońca. Zalśniły kałuże i krople wody na gałązkach.

Ten liść pływający po jeziorku ciemnej wody był jakiś wyjątkowo duży i kolorowy, a może tak mi się tylko wydawało. Pochyliłam się nad nim. Mokry, czerwono-złoty, przywiany nie wiadomo skąd, żeglował niby łódeczka po ciemnej kałuży.

Z tym liściem w palcach pobiegłam na spotkanie taty, który szedł szybko ku mnie...

Ewa Nowacka

Rys. Wanda Orlińska

NASZA GALERIA

Vlastimil Hoffman urodził się w 1881 r. w Karlinie na przedmieściu dzisiejszej Pragi. Matka artysty była Polką, a ojciec Czechem. Zamieszkali w Krakowie, gdzie Hoffman studiował w Akademii Sztuk Pięknych pod kierunkiem Jacka Malczewskiego i Leona Wyczółkowskiego. Studia malarskie uzupełniał w Paryżu. Duży wpływ na wizje malarskie artysty wywarła epoka Młodej Polski.

Vlastimil Hoffman jest malarzem o bujnej fantazji, a jego twórczość to wielka różnorodność i mnogość tematów. Obrazy przedstawiają dzieci wiejskie, madonny polskie, gdzie tłem jest zawsze piękna przyroda. Malował też wiele portretów, trafnie ujmując i wyrażając wewnętrzne cechy charakteru osoby przedstawianej.

Z wojennej emigracji powrócił w 1947 roku do kraju i osiadł w Szklarskiej Porębie. Umarł w 1970 r., pozostawiając bogaty dorobek artystyczny. Wiele jego dzieł znajduje się w zbiorach muzealnych. Najbardziej znane obrazy — to „Madonna ze szpakiem", „Modlitwa", „Świątek i chłop". Artysta wystawiał swoje obrazy w Polsce i za granicą: w Monachium, Rzymie i Pradze.

Janina Datko

POLACY ŚWIATU

JOSEPH CONRAD – WIELKI PIEWCA MORZA

Niełatwo polskiej książce, nawet bardzo dobrej, dotrzeć do czytelników w innych krajach. Tylko garstce naszych pisarzy udało się pokonać tę barierę językową i zyskać uznanie na całym świecie. Zdobyli je na pewno Henryk Sienkiewicz i Władysław Reymont. Spośród żyjących obecnie autorów, stosunkowo popularni za granicą są też Stanisław Lem, zajmujący się głównie fantastyką naukową, oraz Arkady Fiedler, piszący o podróżach do egzotycznych krajów. Ale wielu naszych pisarzy, nawet tak wybitnych jak Bolesław Prus czy Stefan Żeromski, nie miało tyle szczęścia...

Na zupełnie innych zasadach trwale zapisał się w literaturze światowej Joseph Conrad (czyt. Dżozef Konrad), który naprawdę nazywał się Teodor Józef Konrad Korzeniowski i był naszym rodakiem. Barierę językową przełamał osobiście, pisząc w języku angielskim, który po mistrzowsku opanował.

Conrad urodził się w Berdyczowie 3 grudnia 1857 roku. Był synem szlachcica z kresów wschodnich, zresztą znanego literata, zesłańca na Sybir, Apolla Korzeniowskiego. Po śmierci rodziców opiekował się nim wuj, który posłał go do gimnazjum.

Conrada jednak znacznie bardziej

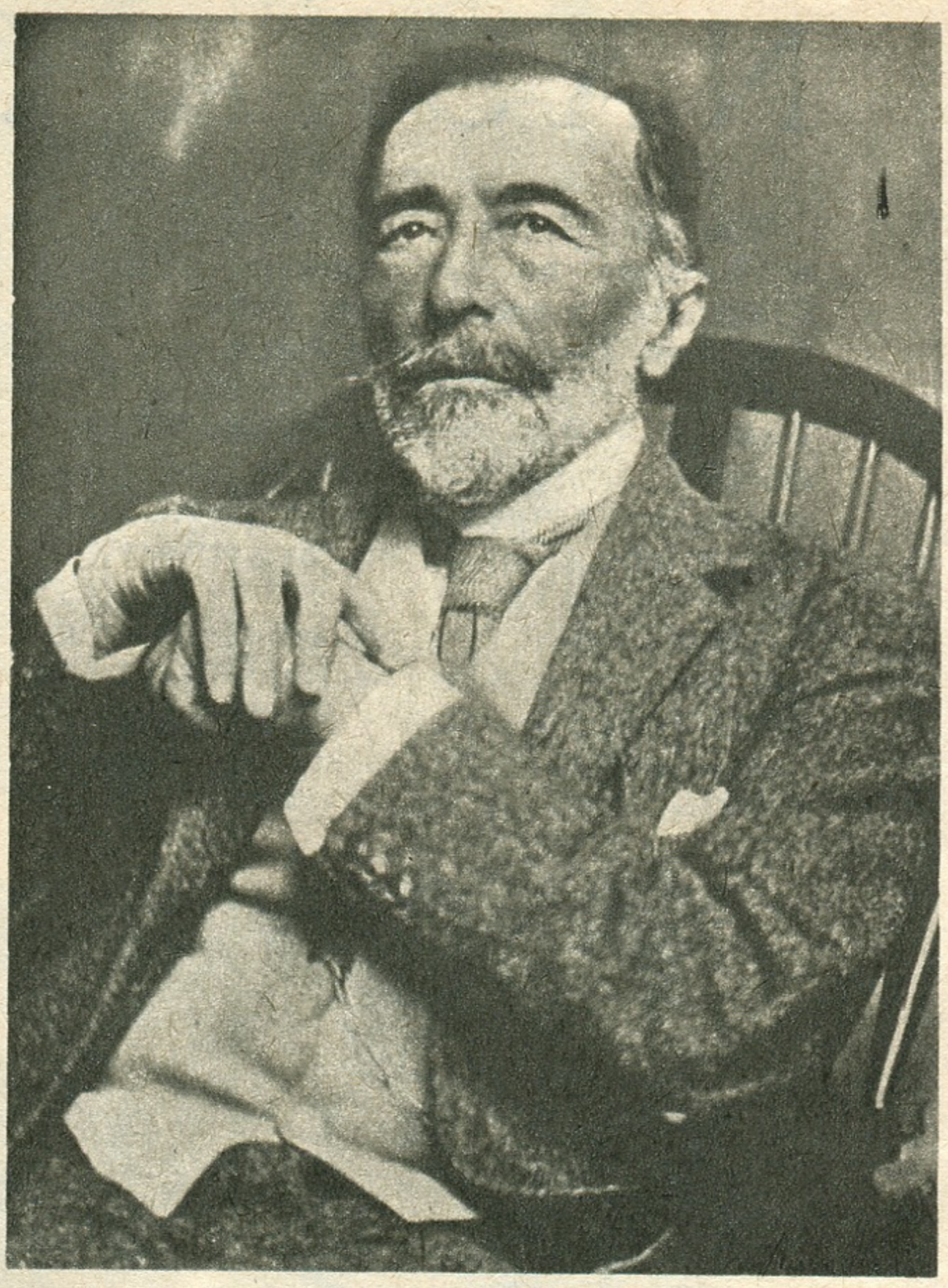

Fot. CAF

Joseph Conrad (1857—1924)

niż nauka pociągały odległe, egzotyczne kraje i czekające tam barwne przygody. Mając szesnaście lat porzucił szkołę i wyjechał do Marsylii, gdzie zaciągnął się na statek. Stało się to w roku 1874. Jako chłopiec okrętowy, a z czasem marynarz, żeglował po Morzu Śródziemnym i do Ameryki, brał udział w przemycie broni do Hiszpanii.

Od roku 1878 pływał na statku angielskim w dalekie rejsy do Australii i po morzach Archipelagu Malajskiego. Jednocześnie pogłębiał swą wiedzę morską i zdawał egzaminy. W 1880 roku był już oficerem, a w 1886 uzyskał uprawnienia kapitana oraz obywatelstwo brytyjskie. Od roku 1888 dowodził żaglowcem „Otago", kursującym pomiędzy Australią a wyspą Mauritius na Oceanie Indyjskim. Przebywając w Kongo nabawił się febry, która poważ-

nie nadszarpnęła mu zdrowie. W 1894 roku rozstał się na zawsze z ukochanym morzem i osiadł w Anglii, całkowicie poświęcając się pisarstwu.

W 1895 roku wydał swą pierwszą książkę, „Szaleństwo Almayera". Pracował nad nią od roku 1889, kiedy to pewnego wrześniowego poranka, pod wpływem nagłego impulsu zabrał się po raz pierwszy do pisania. Miał wówczas prawie czterdzieści dwa lata...

Spośród licznych powieści Conrada wymieńmy tylko najbardziej znane. Powstawały w następującej kolejności: „Murzyn z załogi 'Narcyza'" (1897), „Lord Jim" (1900), „Jądro ciemności" (1902), „Nostromo" (1904), „Zwycięstwo" (1915), „Smuga cienia" (1917). Nie wszystkie jego utwory zostały przełożone na język polski.

Twórczość Conrada zaliczana jest do najwybitniejszych w skali światowej osiągnięć literatury poświęconej morzu. Oparta na głębokiej znajomości spraw morskich oraz stosunków kolonialnych, wiernie maluje bajecznie kolorową, a zarazem smutną rzeczywistość egzotycznych, wyspiarskich krain. Autora interesują przede wszystkim postawy moralne ludzi, a zwłaszcza problem ich wierności wyznawanym zasadom w trudnych momentach próby. Życie na morzach południowych dostarczało wówczas wielu tego rodzaju okazji.

Najbardziej zdumiewa fakt, że utwory Conrada — który stosunkowo późno poznał język angielski i do końca życia miewał trudności w posługiwaniu się nim w rozmowie (wolał rozmawiać po francusku) — napisane są wspaniałym stylem, wnoszącym nowe wartości do literatury angielskiej. Równie zaskakujące wydaje się też, że najwybitniejszym w dziejach piewcą morza stał się przedstawiciel narodu nie mającego w tym czasie swego państwa i floty.

Bolesław Orłowski

Rys. Zdzisław Byczek

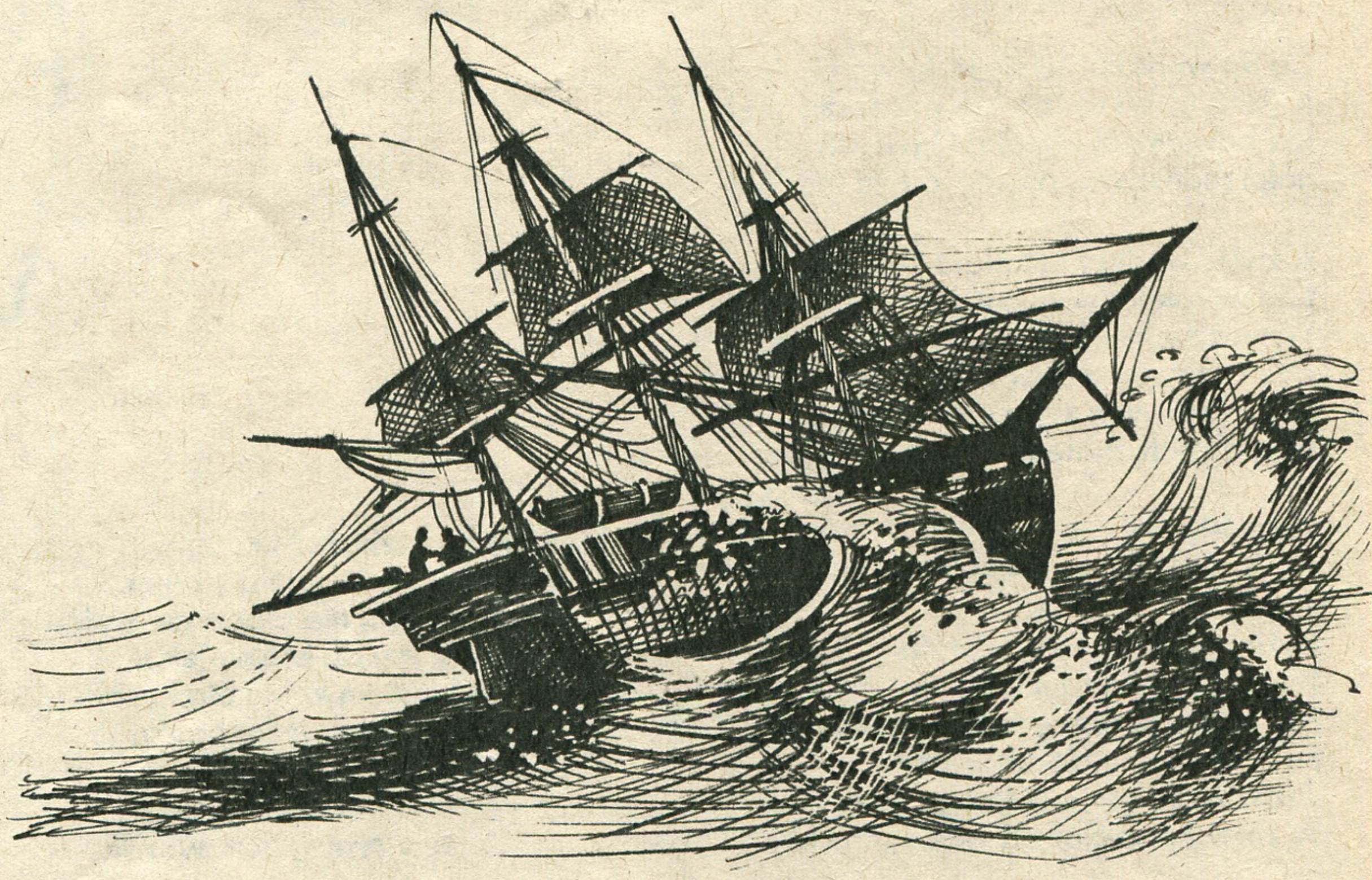

WIERSZ O MIKOŁAJACH I MIKOŁAJKACH

Choć na pewno to wszystko są baje,
takie, wiecie, baje baju-baju,
to jednakże tak coś mi się zdaje,
że przyjemnie wierzyć w Mikołajów.
Świat się nimi co roku zaludnia
o północy dnia szóstego grudnia.

Nie wiadomo dotychczas dokładnie,
gdzie Mikołaj przez cały rok żyje.
Chyba w szafach, w komodach gdzieś
na dnie
przed ludzkimi oczami się kryje.
Kto ma szczęście, ten na dnie komody
ujrzy czasem strzępek siwej brody.

Bo tak samo dziś, jak i przed laty,
utrzymuje się w modzie ta moda,
że Mikołaj być musi — brodaty
i że biała być musi — ta broda.
Białe brody nie lecą im z nieba,
dużo waty na brody potrzeba.

Co do worka natomiast, to worek,
w którym wszędzie się mieszczą podarki,
jak powiedział Mikołaj Gaworek —
najprzedniejszej powinien być marki.

A znów według Mikołaja Trepszy,
taki worek im większy, tym lepszy.
W waszych oczach pytanie się czai:
co to znowu za dziwne nazwiska?
Otóż z różnych słynnych Mikołai,
tych dwóch znałem, że tak powiem,
z bliska.
Odwiedzali mnie w dzieciństwie stale,
co do dzisiaj jeszcze sobie chwalę.

Pozostałaby nam na ostatek
jeszcze sprawa tych rózeg... tych witek...
Ale mam nadzieję, proszę dziatek,
że w tym roku nie będą użyte.
Zresztą, po co tu o tym gadamy,
to zależy przecież od was samych.

No, a kiedy odejdzie Mikołaj,
ten pan z brodą, ta figura z bajek,
to nie wzywaj go, nie płacz, nie wołaj,
daj powrócić mu do Mikołajek...
Bo najlepiej jest im w Mikołajkach,
chociaż może to też tylko bajka.

Ludwik Jerzy Kern

Rys. Przemysław Woźniak

Tańczący słoń

Łukasz kierował się na Białą Górę. Przeszli obok domu, w którym mieszkał Fajczarz, przecięli piaszczyste wydmy i dobrnęli do mokradeł. Łukasz świetnie znał drogę; omijając zdradzieckie bagna, doszli do niewielkiej polany zarośniętej turzycą i skrzypem. Na środku polany rosły gęste krzaki. Zakrywały niewielkie wzniesienie. Łukasz rozchylił krzaki i wtedy Bartek zobaczył zawalone rumowiskiem betonowe wejście. Łukasz odsunął kilka ciężkich brył betonu i kuląc się wszedł do środka. W jego dłoni zabłysła latarka. Jej światło ukazywało w mroku porośnięte mchem betonowe ściany.

Bartek westchnął głucho.

— To wejście jest tak ukryte, że nie znalazłby go nawet diabeł.

Łukasz uśmiechnął się tajemniczo i mówił dalej: — A ja odkryłem go po trzech miesiącach poszukiwań.

— Czy ci na tym tak bardzo zależało?

— Bardzo. Mam takie usposobienie, że gdy się do czegoś zabiorę, muszę to doprowadzić do końca.

— A właściwie co się tu mieściło? — zapytał chłopiec, rozglądając się dokoła.

— Był to cały kompleks podziemnych pomieszczeń niemieckiego sztabu. Kiedy wszedłem tu pierwszy raz, znalazłem mnóstwo rozmaitych papierzysk, cały magazyn żywności, tory podziemnej kolejki i wiele innych rzeczy.

Bartek rozglądał się. Korytarz zrobił na nim przygnębiające wrażenie. Na ścianach jak liszaje widniały plamy zgniłozielonego mchu. Podłoga zawalona była gruzem, zardzewiałymi prętami żelaza, kawałami poskręcanych szyn. Z głębi korytarza wionęło stęchlizną. Im dłużej szli, tym bardziej rosło w nim uczucie odrazy i niesamowitości.

Doszli do miejsca, gdzie korytarz kończył się, a zaczynały się betonowe schody, znad wody wystawały tylko dwa stopnie. Dalej widać było czarną, połyskującą w świetle latarki wodę. Trochę dalej na wodzie kołysał się gumowy ponton. Łukasz chwycił linkę cumowniczą, przyciągnął go do siebie.

— Wsiadaj — rzucił wesoło — przewiozę cię na drugi brzeg jak Charon przez rzekę zapomnienia.

Łukasz odepchnął wiosłem ponton. Osadził na jego przodzie latarkę i zagarnął mocniej wodę. Ponton popłynął miękko po oleiście czarnej wodzie. Bartkowi zdawało się, że za chwilę czarny tunel zasklepi się, a oni zostaną zamknięci w tym ponurym więzieniu.

Płynęli kwadrans, może nieco dłużej, kiedy nagle korytarz rozszerzył się, a przed nimi ukazała się wielka, wysoko sklepiona hala.

— Tu były warsztaty naprawcze — wyjaśniał Łukasz.

Hala przypominała makabryczny gabinet osobliwości. Pod ścianami, niby szkielety przedpotopowych potworów, sterczały porośnięte mchem wraki maszyn. Z ich kłębowiska wychylała się potężna lufa armatnia. Wyglądała jak pozbawiona głowy szyja dinozaura. Z sufitu zielonymi stalaktytami zwisały mchy i porosty. W zastygłej ciszy słychać było odgłos spadających kropel i cichy chrobot, jak gdyby metalowe szkielety ożyły i ocierały się o siebie żebrami.

Bartek zadrżał. Ogarnął go przejmujący lęk i chociaż wiedział, że prócz nich nie ma tu nikogo, zdawało mu się, że za chwilę spośród żeliwnych wraków wychynie jakaś zjawa i ożywi cały ten zakrzepły w niesamowitej scenerii świat. Dla dodania sobie animuszu, zapytał głośno:

— W jaki sposób oni mogli przytaszczyć tu tę armatę?

Łukasz uniósł rękę w stronę sufitu.

— Spójrz... O, tam. Widzisz zapadnię? Na zarośniętej mchami powale odróżniał

się nieco innym odcieniem wielki prostokąt zapadni.

— Domyślam się, że tu była wielka winda — powiedział Bartek niepewnie.

— Brawo. Właśnie windą spuszczali na dół wszystkie działa... nawet czołgi. Widzisz tam pod ścianą gąsienice po „Tygrysie"?

— Widzę. To rzeczywiście zdumiewające. Ładny grosz można by zarobić, gdyby tak sprzedać ten złom.

Łukasz spojrzał na niego bystrzej.

— Widzę, że jesteś rozsądny i praktycznie podchodzisz do sprawy... — Nagle zawiesił głos. Nasłuchiwał chwilę. Słychać było odgłos skapujących do wody kropel i daleki plusk. Łukasz spoważniał.

— Kto to może być? — wyszeptał jakby do siebie.

— Może taki sam ciekawski jak ja wczoraj.

— Nie, bo płynie łódką. I może... — Nie dokończył zdania. Dobił szybko do brzegu, kazał Bartkowi wyskoczyć z pontonu, a sam zrzucił z siebie ubranie i wcisnął się w ubiór płetwonurka.

— Czekaj tu na mnie! — rozkazał wchodząc do wody. Zanurzył się szybko i zginął w rozchodzących się po wodzie kręgach. Wnet jednak wyłonił się i dodał: — Wciągnij ponton i schowaj go dobrze, żeby go nie było widać. — Jeszcze raz błysnął latarką, wyzywając z ciemności niesamowitą panoramę hali. Wnet jednak snop światła zgasł, a Bartek wraz z otaczającym go światłem zapadł w nieprzeniknioną ciemność.

Po chwili usłyszał plusk wioseł, a po czarnej jak smoła wodzie przemknęły nikłe refleksy światła.

— Kto to może być? — powtarzał w myśli. Przyszły mu do głowy najrozmaitsze obrazy, wszystkie pełne tajemniczej grozy. Wnet jednak poniechał wszelkich dociekań i drżąc czekał na... Właściwie nie wiedział na co.

* * *

W dali między prostymi pniami sosen Zulejka ujrzała dom, w którym mieszkał Fajczarz.

— Wstrętny wytwornisiu — myślała — zobaczysz, co to znaczy zadzierać ze mną. Przycisnę cię jak szczura do ściany i będziesz się pięknie spowiadał. Dobry sobie! Niewinny gagatek. Wszystkiego się wypiera, a tymczasem zbiera informacje dla obcego wywiadu. I ta babcia, taka akuratna

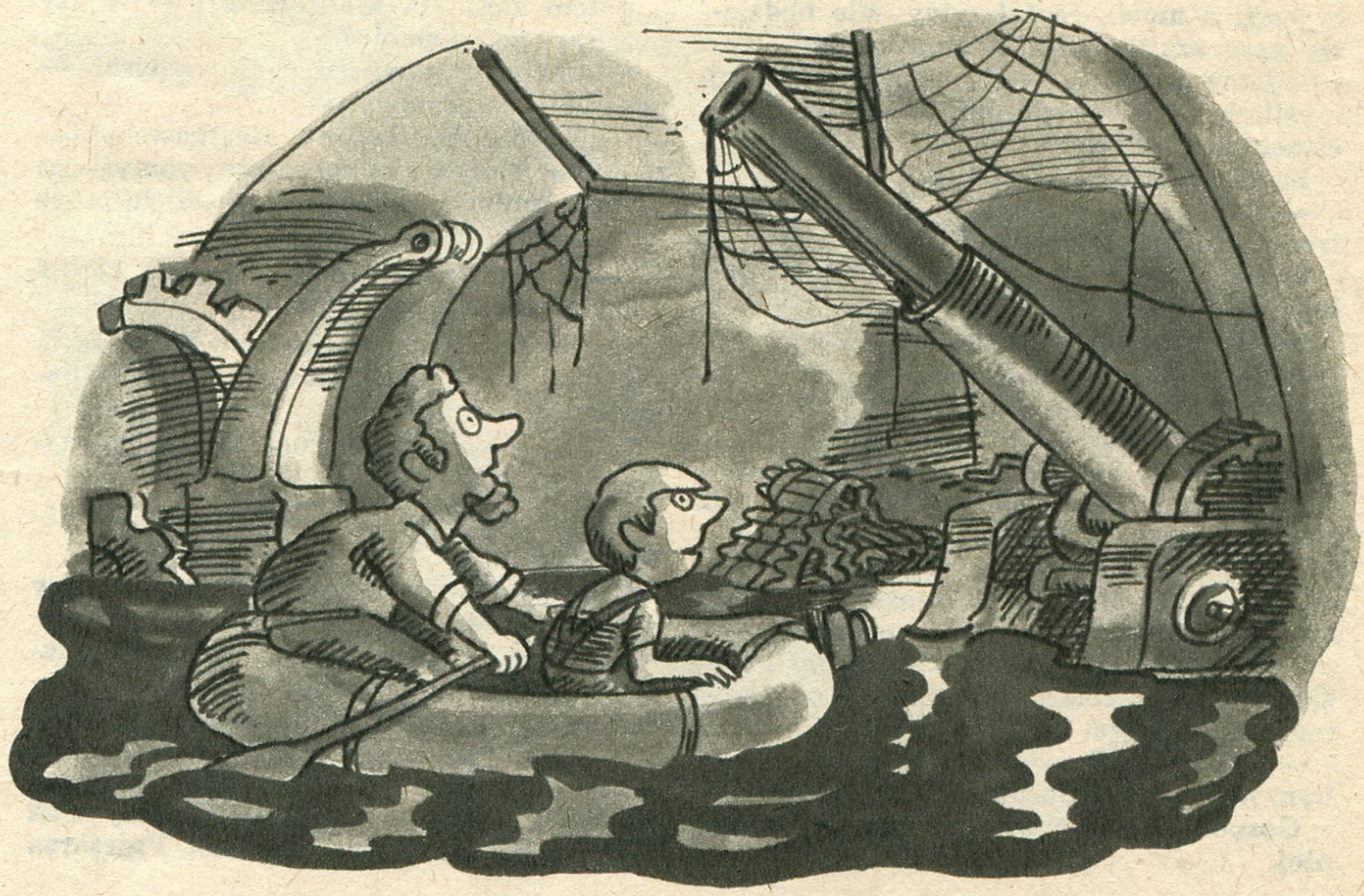

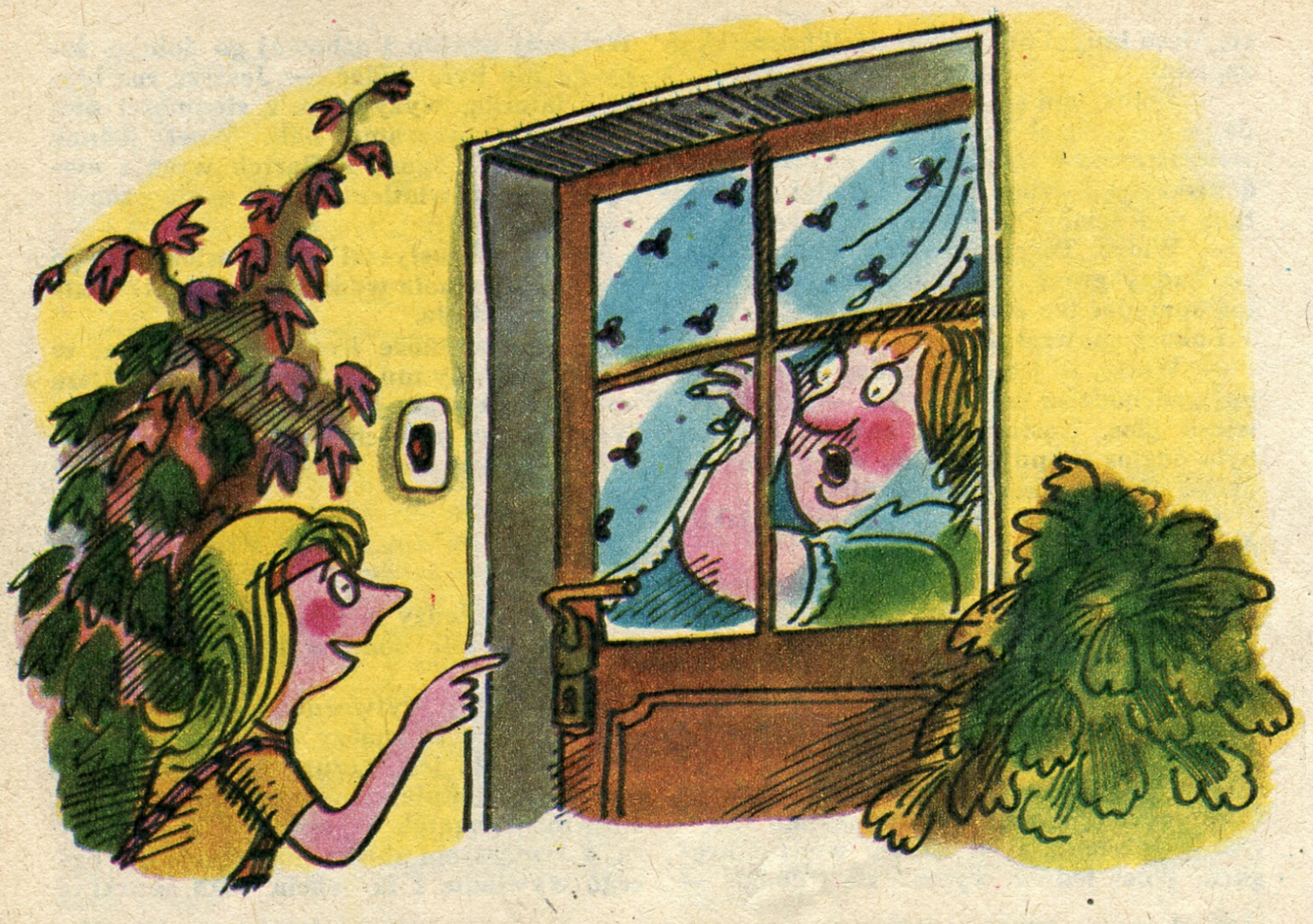

i subtelna, też będzie miała za swoje. Spryciara, schowała brylant wartości kilkuset tysięcy, a mówi, że fałszywy. Nie będziecie nam szklili oczu. Zdemaskujemy was i oddamy w ręce... — Nie dokończyła tej myśli, bowiem doszła już do drzwi i nacisnęła guzik dzwonka.

Po chwili ktoś uchylił firankę.

— Ja do pana Barta — powiedziała trochę głośniej, niż wypadało.

Drzwi otworzyła jej tęga kobieta. Zulejka dygnęła.

— Przepraszam — zaczęła słodko — czy pan Bart jest w domu?

Kobieta objęła ją nieufnym spojrzeniem.

— A ty czego?

— Mam do niego ważną sprawę.

— Może jesteś koleżanką takiego, co mi stłukł słój z malinami.

— Nie... Nie wiem, o czym pani mówi — odparła wykrętnie. — To musiał być jakiś straszny typ — dorzuciła przymilnie.

— No, właśnie. Obiecał panu Bartkowskiemu, że nazbiera mi malin i od tamtego czasu nawet się nie pokazał.

— Nikczemnik — udała oburzenie — ja bym mu tego nie darowała.

Gospodyni spojrzała na nią przychylniej.

— Widzę, że znasz się na rzeczy.

— O tak... — potwierdziła skwapliwie, a potem zapytała nieco ciszej: — A czy pan Bart jest u siebie?

— Chciałaś powiedzieć Bartkowski — poprawiła ją gospodyni.

— To on się nazywa Bartkowski? — zdziwiła się, a jednocześnie pomyślała: Cwany, zmienił nazwisko i myśli, że ja się dam nabrać.

Gospodyni zachłysnęła się, jak gdyby o czymś sobie przypomniała.

— No tak... oczywiście, pan Bart. Ja to już mam taką starą głowę i często zapominam.

— Więc może mnie pani wpuści do niego.

— Pierwsze drzwi na prawo. — Wskazała ręką.

Zulejka ruszyła z tupetem, lecz już przy drzwiach zatrzymała się; zapomniała bowiem, po co przyszła i co mu ma powiedzieć. Wahała się chwilę. Z pokoju dochodził stukot maszyny do pisania. To ją nieco ośmieliło. Zapukała energicznie. Maszyna przestała stukać. Po chwili ktoś podszedł do drzwi, a gdy je otworzył, dziewczyna aż jęknęła ze zdumienia. Zamiast Fajczarza

w progu stał Krzywonos. Zamurowało ją zupełnie. Nie mogła wykrztusić nawet zdawkowego przywitania. Tamten wybawił ją z trudnej sytuacji.

— Ty pewno do pana Barta?

— Tak... a właściwie... — jąkała się.

— Co powiedziałaś?

Opanowała się nieco.

— A nic. Bo właśnie... chciałam zapytać, czy pan Bart jest w domu.

— Niestety, wyszedł.

— A kiedy wróci?

— Nie mam pojęcia. Mówił mi, że spotkamy się na obiedzie.

Dziewczyna z wolna wracała do równowagi. Przechyliła lekko głowę i zaszczebiotała z przekąsem:

— To panowie tu razem mieszkają?

Krzywonos, zamiast zblednąć, zadrżeć ze strachu i jąkać się, skinął przyjaźnie ręką.

— Wejdź, proszę. Nie będziemy rozmawiali w progu.

— Dziękuję! — odwzajemniwszy się figlarnym uśmieszkiem dorzuciła uszczypliwie: — Pewno pomaga pan panu Bartowi liczyć sójki na wierzbie.

Krzywonos roześmiał się głośno.

— Nie... ja zupełnie nie znam się na ptakach.

— A na ptaszkach? — zmrużyła znacząco oko.

— Zależy, na jakich.

— Na niebezpiecznych? — Usiadła na odsuniętym od stołu krześle. Rozejrzała się ostentacyjnie po pokoju. Krzywonos usiadł przy maszynie.

— A ty do jakich ptaszków należysz? — zapytał żartobliwie.

— Do bar-dzo nie-bez-piecz-nych — wyrecytowała. Jednocześnie postanowiła zaatakować frontalnie. Nie będzie cackać się w dyplomację i słowne podchody. Znokautuje jednym pytaniem. Skupiła się, zmarszczyła nosek i rzuciła zuchwale:

— Czy pan dalej utrzymuje, że jest oficerem milicji?

— Oczywiście — odparł po chwili wahania.

— A podaje się pan za magistra ekonomii?

— Bo nim jestem.

— To coś mi nie klapuje.

— W milicji wielu ludzi ma wyższe wykształcenie.

— Możliwe, ale pan mi na magistra nie wygląda.

— A na kogo?

— I nie jest pan oficerem milicji...

— Skąd jesteś taka pewna?

— Bo byłam zapytać o pana na posterunku.

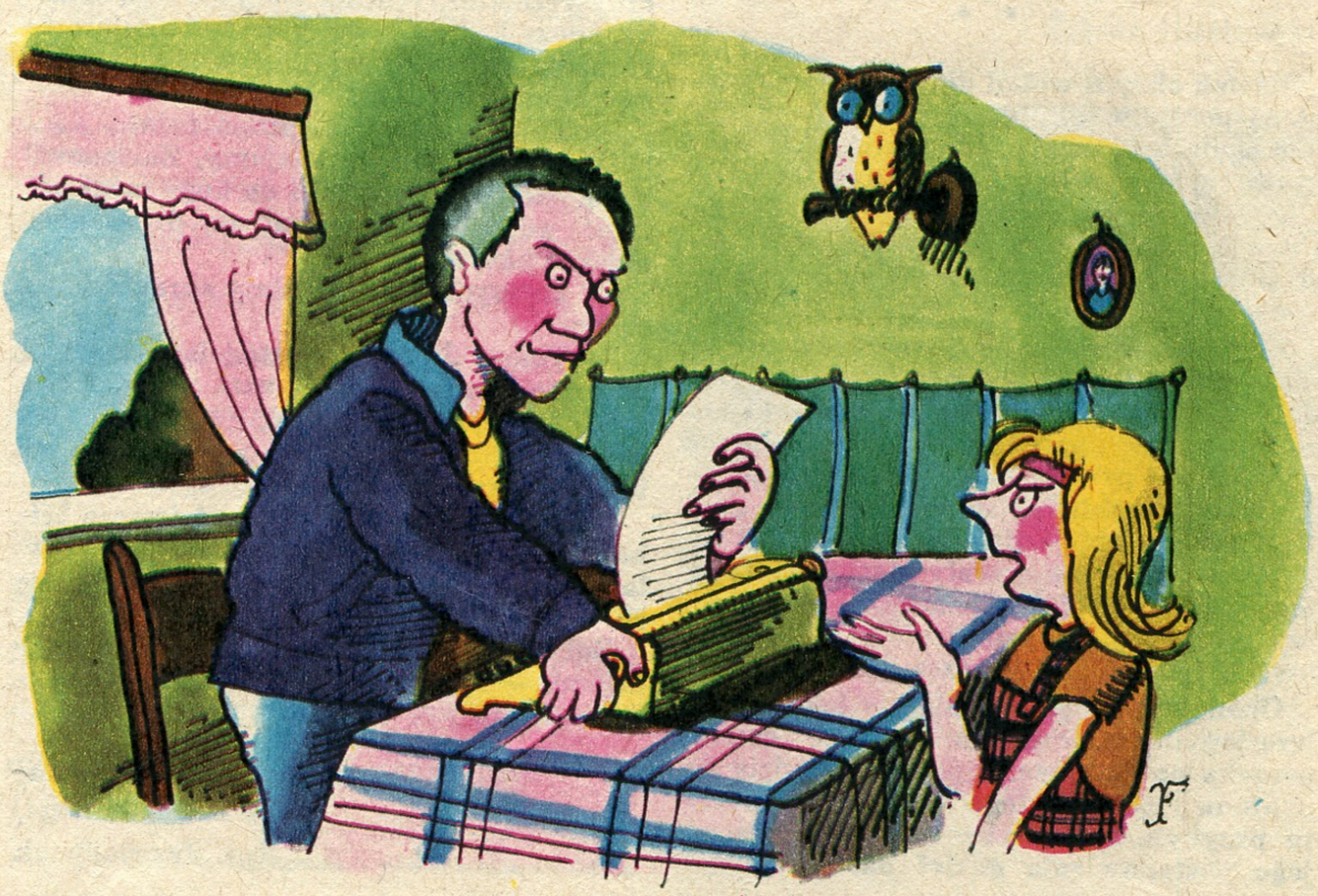

Krzywonos zatarł ręce.

— Brawo, widzę, że zabrałaś się do mnie fachowo.

— Żeby pan wiedział. Do pana i do kilku innych, z którymi pan współpracuje.

— Na przykład do kogo?

— Na przykład do tego patentowanego ornitologa, co to niby obserwuje ptaszki, a tymczasem zbiera ważne informacje dla... — Zachłysnęła się. Pomyślała bowiem, że za wcześnie na wykładanie wszystkich kart.

— No... nie krępuj się. Dla kogo?

— Pan dobrze wie, a udaje naiwnego. Na przykład, co pan pisze teraz na maszynie?

Krzywonos wolnym ruchem wykręcił z maszyny kartkę papieru, złożył ją na czworo i z tajemniczym uśmiechem wsunął do kieszeni wdzianka.

— Są jednak sprawy, do których dzieci nie powinny się mieszać...

— To mielibyście za łatwe życie.

— Mamy ciężkie, a ty nam jeszcze utrudniasz.

— Zgadł pan. I proszę mieć się na baczności, bo możemy panu dobrze nastąpić na nagniotki.

— Dość! — powiedział nie znoszącym sprzeciwu głosem. — A teraz, moja panno, zabieraj się stąd, bo nie mam czasu.

* * *

Bartek okręcił wokół dłoni linkę cumowniczą pontonu. Skulił się, usiadł w kucki pod samą lufą działa. Zdało mu się, że pogrąża się w okrutnym, mrocznym świecie. Nigdy jeszcze nie doznał takiego wrażenia. Cisza dzwoniła mu w uszach. Jedynym dosłyszalnym dźwiękiem było bicie własnego serca.

Zupełnemu mrokowi towarzyszyły równie mroczne myśli. Ładnie będzie wyglądał, jeśli Łukasz nie wróci. Bez latarki nie znajdzie nawet powrotnej drogi. Przypomniał mu się pewien film, w którym główny bohater zabłądził w podziemnych grotach jak w labiryncie i nagle natrafił na miejsce, gdzie znajdowały się kościotrupy jego poprzedników. Ciekawe, kto pierwszy natrafiłby na jego szkielet? Na samą myśl o tym zadrżał i zaszczękał zębami.

Opanował się po chwili. Nie będzie roztrzęsionym mięczakiem. Jeszcze chwilę poczeka na Łukasza, a potem wsiądzie do pontonu i poszuka tego korytarza, którym tu przybyli. Jak gdyby w odpowiedzi na jego postanowienia gdzieś bardzo daleko odezwało się pluskanie, a potem nikłe refleksy światła odbiły się w lustrze wody.

— Łukasz! — zawołał pełnym głosem.

Nikt mu nie odpowiedział. Światło zgasło i znowu świat zapadł w mroczną martwotę.

Wzdrygnął się na myśl, że niepotrzebnie wykrzyknął imię przyjaciela. Może jego wrogowie chcą się z nim rozprawić i szukają go w tych koszmarnych podziemiach. Westchnął więc instynktownie, jakby chciał odwołać ten okrzyk, i jednocześnie skulił się, pragnąc w ten sposób opanować drżenie.

Naraz znowu coś plusnęło, jak gdyby jakiś duży przedmiot upadł do wody. Pomyślał, że to może Łukasz skoczył do kanału, by przeprawić się z powrotem do tej hali. Tym razem już nie wykrzyknął jego imienia, jedynie skrył się za obudową jakiejś wielkiej maszyny.

Czekał.

Odgłos pluskania stawał się coraz głośniejszy, a światło coraz częściej i jaśniej rozbłyskało na powierzchni wody. Nagle usłyszał dźwięk muzyki. Domyślił się, że ktoś włączył radio. Po chwili rozpoznał melodię. Oto w podziemiach podobnych do piekła Maryla Rodowicz śpiewała „Jadą wozy kolorowe". Powiało krzepką swojskością i nastrojem beztroski.

Zanim zdążył zebrać myśli, z bocznego korytarza wyłonił się kajak. Z jego dziobu, niby reflektor, rzucała snop światła latarka, spoza której widać było tylko miarowo zagarniające wodę wiosła. Po chwili usłyszał kobiecy głos:

— To powinno być gdzieś tutaj.

Głos wydał mu się znajomy. Zastanowił się, gdzie go już słyszał i do kogo mógł należeć, gdy wtem odezwał się drugi głos, męski i nosowy.

— Zatrzymaj się. Musimy sprawdzić na szkicu.

— Tolo i Żałosna Mortadela! — zdusił w sobie cisnący się na usta okrzyk. Nie mógł się mylić, zwłaszcza, gdy światło latarki przesunęło się o pół obrotu, a on zobaczył w kajaku dwie znane sylwetki.

Kajak siłą rozpędu popłynął jeszcze kilka metrów, a gdy zatrzymał się, Tolo rozłożył na kolanach niewielki arkusz papieru. Kobieta przyświeciła mu latarką.

Bartek domyślił się, że jest to plan podziemi. — Czego oni tu szukają? — zapytał w myśli.

Adam Bahdaj

(Ciąg dalszy nastąpi)

Rys. Jerzy Flisak

ZIMOWE SMAKOŁYKI

W zimie owoce są dla niektórych zwierząt jedynym pożywieniem. Ptaki, nawet te, które latem odżywiają się niemal wyłącznie owadami, zimą jedzą owoce. Postępują tak wszelkie drozdy (a więc kosy, kwiczoły) oraz jemiołuszki. Sikory i dzięcioły też uzupełniają owocami swój jadłospis.

Spośród ssaków nie gardzą owocami także lisy i wiewiórki, a więc drapieżniki i gryzonie.

Lepkie, dla ludzi trujące owoce jemioły zjadają głównie nie jemiołuszki, lecz — paszkoty, największe z naszych drozdów. Obydwa te gatunki ptaków mają na tyle szerokie przewody pokarmowe, że duże nasiona („pestki") jemioły mogą przejść przez nie i zostają potem rozsiane na drzewach.

Gile żerują często na klonach, z ich owoców — skrzydlaków (znanych Wam „nosków"), wyjadają mięsiste nasiona. Także skrzydlaki wiązów i jesionów są pokarmem gili, dzwońców i wiewiórek.

Czyżyki, czeczotki oraz szczygły wyjadają nasiona z różnych chwastów i z puchatych owoców ostów, uskrzydlonych orzeszków zebranych w baziach brzóz lub szyszeczkach olch. Kwiczoły żywią się chętnie szyszkojagodami jałowców, tak że całe ich ciało przenika jałowcowy zapach.

Sójki, kowaliki, dzięcioły, no i wiewiórki potrafią się dobrać do wnętrza orzechów laskowych, bukwi (orzeszków buka) i żołędzi, a przy okazji rozsiewają te rośliny.

Ptakiem dziwakiem jest grubodzióbten nie delektuje się zasuszonym miąższem czereśni i wiśni, lecz nasieniem zawartym we wnętrzu pestek, które rozłupuje swym wielkim dziobem. Dzięcioły mają na drzewach „kuźnie", w których rozkuwają dziobem setki szyszek i wyjadają z nich nasiona.

Krzyżodzioby tak są zależne od nasion drzew iglastych, dojrzewających akurat zimą, że lęgi swe odbywają właśnie w zimie, od grudnia do marca!

Największe skupiska drzew i krzewów dla nas ozdobnych, a dla zwierząt owocowych, znajdują się w miastach. W warszawskiej alei jarzębin przy ul. Wandy jemiołuszki i kwiczoły przebywają do trzech tygodni, aż objedzą wszystkie owoce. Kosy i kwiczoły spędzają nawet całą zimę przy pojedynczych oliwnikach sadzonych na skwerach. Sadzenie i ochrona drzew i krzewów ozdobnych o drobnych owocach, nawet pozornie niejadalnych, przynosi wiele pożytku — przydają się one zwierzętom w zimie.

Wiktor Pawłowski

Fot. Bronisław Dostatni

Pomóżcie zwierzętom przetrwać zimę! Niech karmniki dla ptaków nie będą nigdy puste, niech nie zmarnuje się żadna okruszyna chleba!

W zacisznym miejscu, w polu lub pod lasem, wykładajcie dla zajęcy, sarn i innej zwierzyny leśnej marchew, siano, buraki i wysypujcie nasiona lnu, konopi, słonecznika, a także suszone owoce bzu czarnego i jarzębiny!

JESTEŚMY W SZKOLE TAŃCA

Było to dwieście lat temu, 24 czerwca 1785 roku, gdy król Stanisław August Poniatowski specjalną ustawą powołał do życia „Towarzystwo Tancerzów Jego Królewskiej Mości". Datę tę uznano za oficjalny początek istnienia polskiego baletu.

Ochody jubileuszowe 200-lecia sceny baletowej w Polsce obchodzono w naszym kraju bardzo uroczyście. Odbyło się wiele imprez, m. in. koncert galowy, podczas którego mogliśmy podziwiać wiele doskonałych polskich tancerek: Ewę Głowacką, Barbarę Rajską, Kamę Akucewicz oraz tancerzy: Łukasza Gruziela, Janusza Mazonia. Wszyscy oni, zanim wystąpili na scenie i stworzyli wspaniałe kreacje, musieli ukończyć szkołę baletową. Takich szkół jest w Polsce pięć: w Warszawie, Gdańsku, Bytomiu, Łodzi, Poznaniu.

Odwiedziliśmy warszawską Szkołę Baletową im. Romana Turczynowicza (wybitnego choreografa, który żył w XIX wieku). Ma ona swoją siedzibę przy ulicy Moliera, w sąsiedztwie Teatru Wielkiego. Ukończyli tę szkołę tacy wybitni tancerze, jak: Ewa Głowacka, Barbara Rajska, Ewa Grabska, Wojciech Wiesiołowski, Gerard Wilk, Piotr Nardelli, Andrzej Ziemski.

Obecnie w szkole uczy się ponad 200 dziewcząt i chłopców. Rozpoczynają naukę od czwartej klasy szkoły podstawowej (która stanowi pierwszą klasę szkoły ba-

letowej). Warunkami przyjęcia są: doskonałe zdrowie, słuch, poczucie rytmu, odpowiednia sylwetka i ukończenie z dobrym wynikiem trzeciej klasy szkoły podstawowej, i oczywiście dobrze zdany egzamin wstępny.

Egzaminy trwają od marca do czerwca. Przyjmuje się kandydatów nie tylko z Warszawy, gdyż szkoła posiada internat.

Nauka, trwająca 9 lat, obejmuje obok przedmiotów ogólnokształcących, wiele godzin tańca klasycznego, charakterystycznego i ludowego, rytmikę z umuzykalnieniem, historię tańca, literaturę muzyczną, grę na fortepianie, język francuski.

Przyjęcie do szkoły baletowej to dopiero pierwszy, niewielki krok w drodze na scenę. W trakcie nauki okazuje się czasem, że trzeba zrezygnować z tej szkoły. Bywa, że wymaga tego zdrowie lub zmieniająca się w okresie dorastania sylwetka. Wtedy wraca się po prostu do nauki w kolejnej klasie szkoły podstawowej lub średniej.

Ale pora już zobaczyć, jak w jednej z sal ćwiczą uczniowie klasy pierwszej. Zza zamkniętych jeszcze drzwi dobiegają tajemnicze słowa: Battement tendu! Battement jeté! Battement developpé! Prowadząca lekcję profesor Izabella Gorzkowska-Głowacka, absolwentka tej szkoły, która po skończonej karierze scenicznej i pracy pedagogicznej w Moskwie i Rzymie, obecnie uczy tańca klasycznego w warszawskiej Szkole Baletowej, wyjaśnia, że to ćwiczenia mające na celu wyciągnięcie i uelastycznienie nóg.

Niektóre z tych ćwiczeń obejrzeć możecie na fotografiach. Oto, co powiedziały „Płomyczkowi" uczennice z tej klasy: Ania Wujkowska, Beata Zdziebko, Małgosia Onyszczuk, Ania Kaczyńska, Monika Staniszewska, Kamila Gągorowska: „Powtarzamy bardzo dużo razy te ćwiczenia. I chociaż czasami jest to dla nas monotonne, to dzięki nim nie tylko wyrabiamy siłę i elastyczność nóg, ale również swój charakter. Czujemy, że przezwyciężyłyśmy słabość ciała i charakteru. Chciałybyśmy tańczyć tak jak wybitni tancerze. Wiemy teraz, ile wymaga to samozaparcia. Zawsze lubiłyśmy taniec, ale dzięki nauce w tej szkole lepiej go zrozumiałyśmy".

Niektórzy uczniowie i uczennice wkrótce wystąpią na prawdziwej scenie w baletowych przedstawieniach dla dzieci „Dziadek do orzechów" i „Leśna królewna".

Teresa Wilk-Białożej

Fot. Stefan Rutkowski

NA NARTY

Desek, przypinanych do nóg, żeby było wygodniej poruszać się po zaśnieżonym terenie, używano już kilka tysięcy lat temu. Posługiwali się nimi myśliwi, żeby zdobyć pożywienie, pokonywali przy tym duże odległości.

Jako początek współczesnego narciarstwa uznawany jest rok 1888, kiedy to słynny podróżnik Fridtjof Nansen przemierzył na nartach wielki lądolód — Grenlandię. Ale w Polsce też mamy bogate tradycje narciarskie. Oto w tym samym 1888 roku, leśniczy pracujący koło Jasła — Stanisław Barabasz, używał do wędrówek po lesie „drewnianych łyżew", bardzo dogodnych do chodzenia po śniegu. Pierwszy raz zaczęto także wtedy używać znanej do dziś nazwy — narty.

Warto przy okazji dowiedzieć się, że najstarsza polska odznaka narciarska była jedną z pierwszych na świecie. Ustanowiono ją w 1932 r. i do dziś można ją zdobywać. To Górska Odznaka Narciarska.

I ty możesz zostać narciarzem. Niekoniecznie wspaniałym zjazdowcem. Można odbywać na nartach także wędrówki turystyczne. Żeby zachęcić młodzież do tego pożytecznego zajęcia ustanowione są odznaki narciarskie dla młodych i najmłodszych narciarzy.

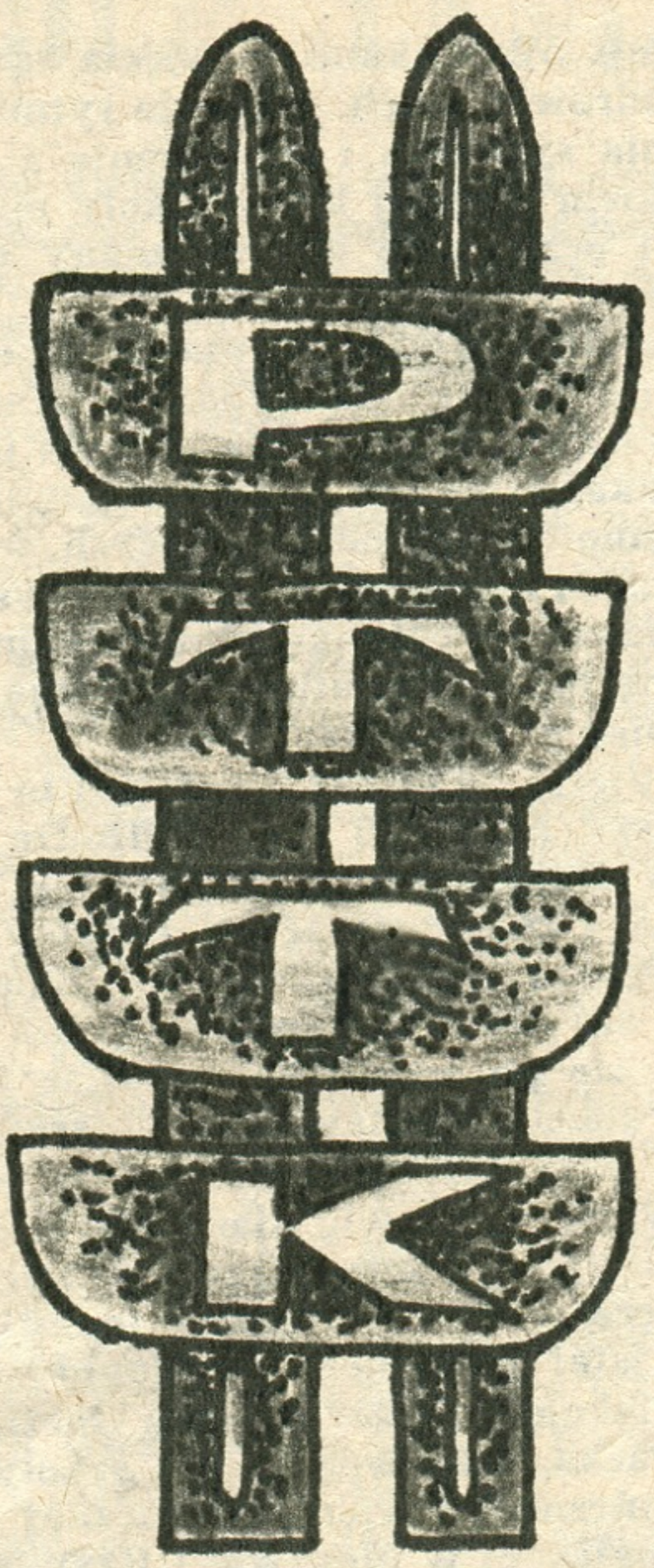

Jakie odznaki możesz zdobyć?

Najłatwiej zdobyć Popularną Odznakę Narciarską — wystarczy tylko kilka godzin, w ciągu jednego dnia, by odbyć wycieczkę na nartach oraz umieć wykonać proste ewolucje, np. zwroty, kroki, zjazd w skos stoku. Te umiejętności powinien obserwować instruktor — przodownik odznaki, który ją przyznaje. Znane są PON z emalią białą, zieloną i niebieską, a każda z nich oznacza stopień umiejętności jazdy na nartach.

Druga odznaka dla Was — to Narciarska Odznaka Młodzieżowa. Żeby ją zdobyć (gdy ma się 12—15 lat), trzeba odbyć wycieczkę na nartach, trwającą przynajmniej 3 godziny, i przebyć 10 km. I to wszystko na dowolnym terenie, tuż koło domu także.

Zatem warto spróbować. Jest jeszcze czas na przygotowanie sobie nart. Ale przecież można zdobywać takie odznaki na nartach pożyczonych od kolegi. I nie muszą to być narty „wyczynowe". Spróbować warto, przyjemność wielka.

Tomasz Kowalik

DZIECI W GÓRNICZE ŚWIĘTO!

-POSTAWIŁEM CI TU DWÓJKĘ ZA ORTOGRAFIĘ – I PRZYNIESIESZ MI TO Z PODPISEM OJCA!

NIECH RZYJĄ GÓRNICY

- MY SIĘ BAWIMY W KOPALNIĘ, PROSZĘ PANI!

- WRACAJ SZYBKO, BO NIE WYKONAMY PLANU!

- JA JUŻ NIE CHCĘ BYĆ BASIĄ – JA CHCĘ BYĆ BARBURKĄ!!

- ZARAZ WRACAM, CHŁOPAKI! TYLKO MNIE MAMA UMYJE!

- KTÓRY Z WAS JEST MOIM JURKIEM?

GWIDON MIKLASZEWSKI

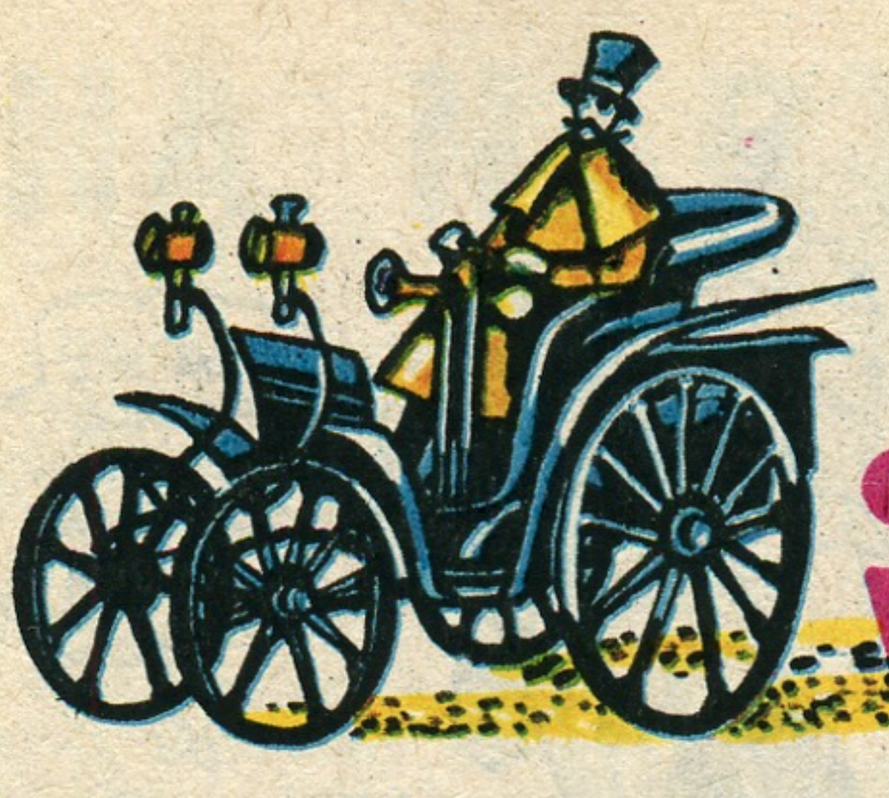

100 LAT SAMOCHODU

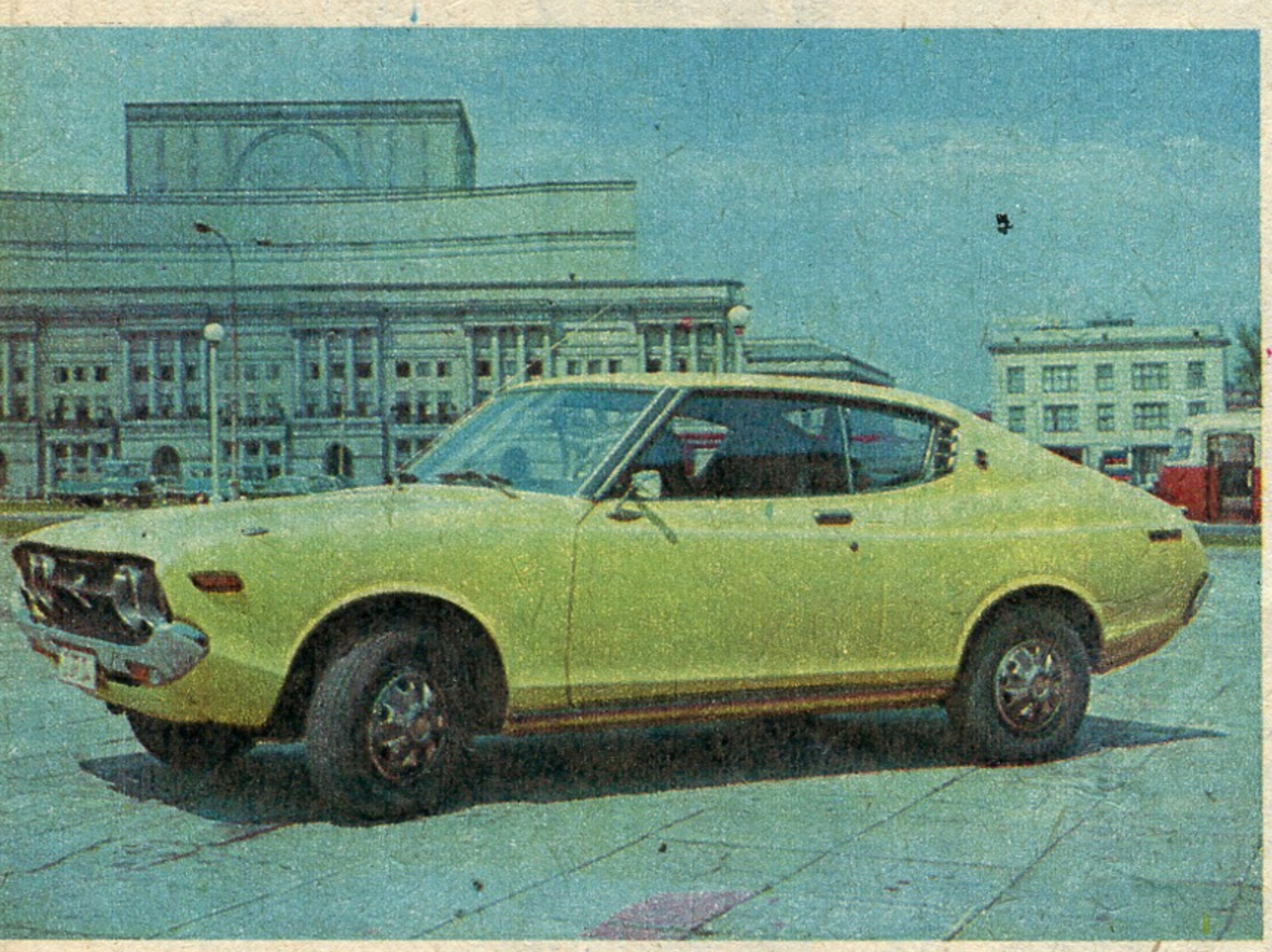

Datsun Violet 160 SS z 1973 roku mógł rozwijać prędkość maksymalną 165 km/godz.

Mały samochód Toyota Starlet z 1981 roku. Prędkość maksymalna 140 km/godz.

JAPOŃSKA POTĘGA SAMOCHODOWA

Gdy w Europie i w Ameryce rozwijał się przemysł motoryzacyjny, Japończycy jakby nie interesowali się samochodami. Nie wnosili wkładu w pierwszym etapie rozwoju samochodu. Dopiero w latach trzydziestych zaczęły częściej pojawiać się na drogach samochody japońskie. Budowano je wzorując się na pojazdach europejskich i amerykańskich. Sytuacja taka trwała do lat sześćdziesiątych. Potem nastąpił wielki skok w produkcji japońskich samochodów. Jeśli w 1950 roku zdołano wyprodukować zaledwie 2396 samochodów osobowych, to w 1964 roku z fa-

Mazda 323 z 1983 roku może osiągać prędkość 160 km/godz. Gdy jedzie się wolniej, np. 90 km/godz., samochód zużywa 5,6 litra benzyny na 100 km

bryk japońskich wyjechało już 579 660 sztuk tego rodzaju pojazdów.

W następnych latach produkcja samochodów w Japonii stale rosła. Pod względem liczby wyprodukowanych pojazdów osobowych Kraj Wschodzącego Słońca na początku lat osiemdziesiątych wysunął się nawet na pierwsze miejsce w świecie, wyprzedzając pod tym względem potęgę samochodową świata — Stany Zjednoczone.

Obecnie produkuje się w Japonii około 7,5 mln. samochodów osobowych rocznie, a przecież buduje się tam również samochody ciężarowe i autobusy.

Duża liczba japońskich samochodów trafia do wielu krajów świata, także do Polski. Widać na polskich drogach Toyoty, Nissany, Mazdy, Daihatsu i Mitsubishi. Są to nowoczesne pojazdy, dokładnie zrobione i ekonomiczne w eksploatacji.

Na pewno z przyjemnością obejrzycie kilka zdjęć tych nieco starszych i tych najnowszych samochodów japońskich.

Tekst i fot. kolor.
Zdzisław Podbielski

Nissan Sunny był nowością w 1983 roku. Jest to samochód średniej wielkości, taki jak nasz polski FSO-125p

Zaliczany do małych samochodów Daihatsu Charade sprzedawany jest w Polsce od dwóch lat. Ma wbudowany najmniejszy na świecie silnik Diesla. Zużywa małe ilości paliwa, przy prędkości 90 km/godz. zaledwie 4 litry na 100 kilometrów

ZGADUJ • ZGADULA • ZGADUJ • ZGADULA

1		3,4		6		2	

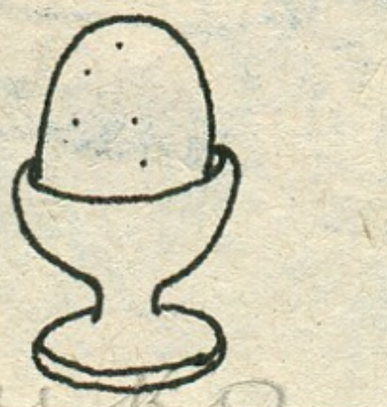

6		5		1		1	

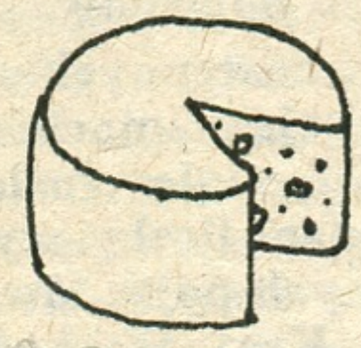

3		6		1,2		2	

Z nazw owoców, jarzyn i produktów spożywczych należy wybrać te litery, które wskazują cyfry. Litery te, czytane kolejno, utworzą rozwiązanie.

G. K.

	K				K	
						R

UZUPEŁNIANKA

Do pustych kratek wpiszcie poziomo 7 wyrazów o podanym znaczeniu. Odgadnijcie sami, w których rzędach należy je umieścić.

Znaczenie wyrazów:

1. **Wzywa uczniów na lekcję.**
2. **Na zupę pomidorową lub przecier.**
3. **Teren przeznaczony do ćwiczeń wojskowych.**
4. **Mały, młody osiołek.**
5. **Budynek do przechowywania zboża, słomy lub siana.**
6. **Trudne sytuacje, zmartwienia.**
7. **Nieduże okno.**

G. K.

	15	0	
		14	

KWADRAT LICZBOWY

Do poszczególnych kratek wpiszcie liczby od 1 do 14 tak, aby ich suma w każdym rzędzie pionowym i poziomym — oraz na dwu przekątnych równała się 30. Dla ułatwienia wpisano już we właściwym miejscu liczby 0 i 14.

J. S.

Dopalnianka

W puste kółka wpiszcie takie sylaby, aby czytane w linii prostej razem z wpisaną już sylabą RO utworzyły cztery wyrazy.

J. S.

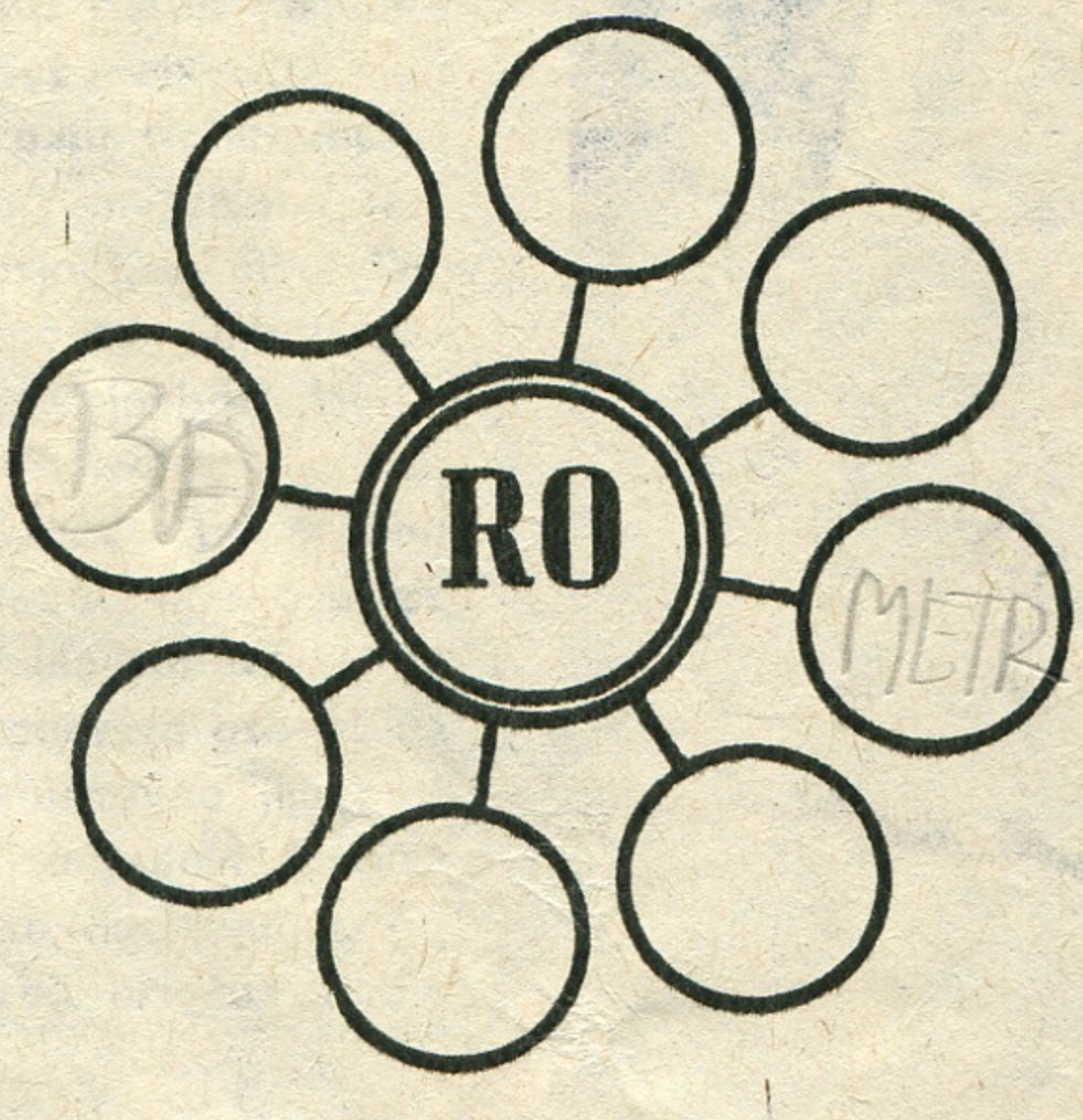

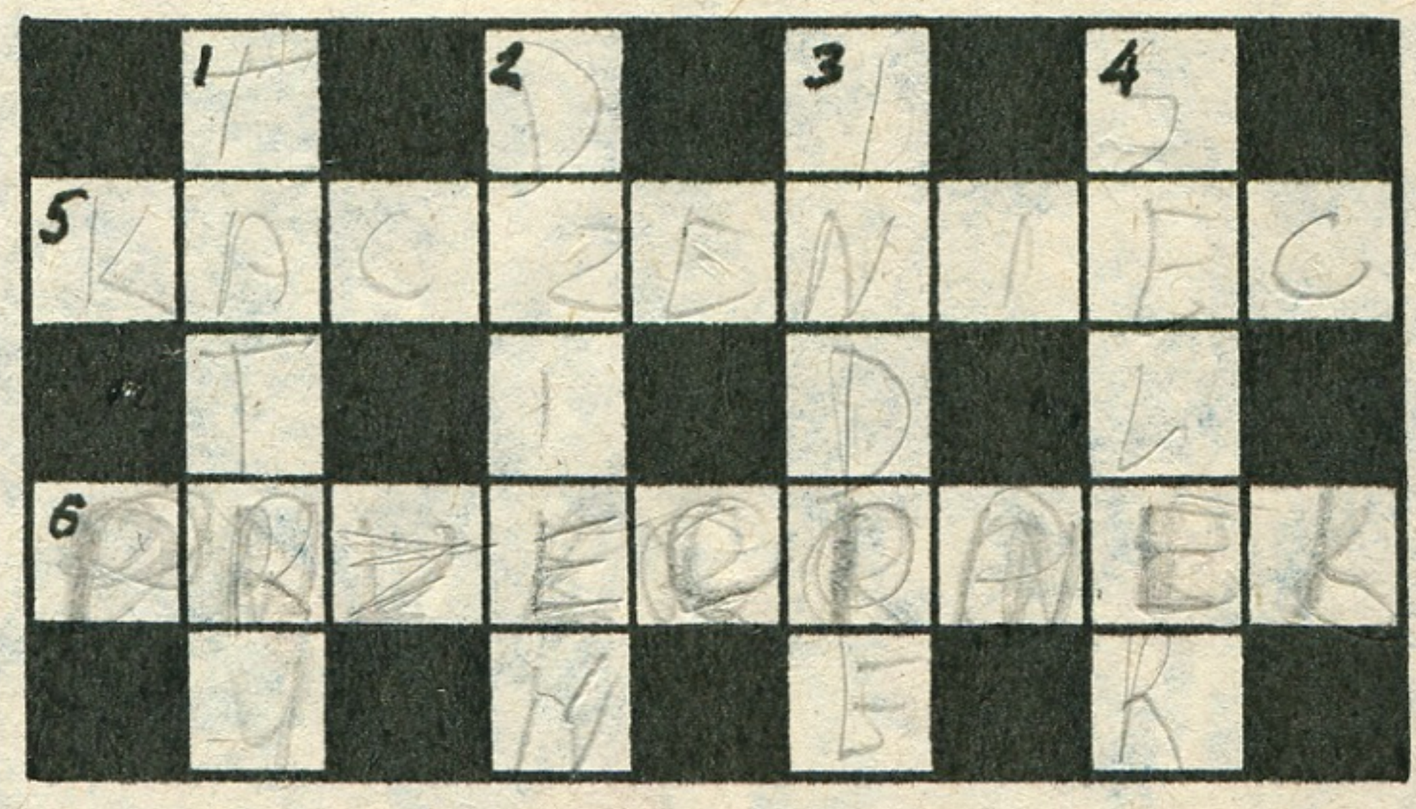

KRZYŻÓWKA

Do kratek figury wpiszcie wyrazy o podanych niżej znaczeniach.

Poziomo: 5. kwitnie żółto na łące, 6. kolega kropki. Pionowo: 1. polskie góry, 2. przeciwieństwo nocy, 3. duże państwo w Azji, 4. warzywo, które często myli się z porem.

J. S.

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy
„Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 120 zł,
półrocznie — 240 zł,
rocznie — 480 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:

— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;

— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1985 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 86 × 122 cm, kl. V.

Zam. 1701/85 L-6

Nakład 430 370 egz.

INDEKS 36875

FOLKLOR ŚWIATA

Na terytorium Niemieckiej Republiki Demokratycznej, nad Odrą, żyją Łużyczanie. Mieszka ich tam około 100 tysięcy. Jest to najmniejszy naród słowiański. Głównym ośrodkiem życia narodowego i kulturalno-naukowego Łużyczan jest Budziszyn. Tu mają siedziby instytucje i organizacje społeczno-kulturalne. Organizacją o wieloletnich tradycjach i osiągnięciach jest „Domowina". Taką samą nazwę ma wydawnictwo, bardzo zasłużone w utrzymaniu i rozwoju języka łużyckiego. Łużyczanie są bardzo przywiązani do swoich tradycji, obyczajów i historii ojczystej. Najpełniej folklor łużycki prezentuje, pokazany na zdjęciach, Łużycki Zespół Ludowy.

Tadeusz Samborski

CENA 15 zł